

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

24 — Czy... czy tutaj mieszka pan Żarnicki?... — zapytała trwożliwie Józia, wchodząc do przedsiönka, dobrze ogrzanego i urządzonego jako poczekalnia.

— Pan Żarnicki? Tak jest!

— Czy on bardzo chory?

— No, chory to jest, ale nie tak znowu bardzo. My tutaj gorszych chorych widzujemy... Nasz pan doktor go wyleczy — odpowiedziała tonem, jakby pociechy, służąca i z życzliwym zainteresowaniem spoglądając na Józję, dodała:

— To pewnie panienci krewny albo i narzeczony? ..

Gorąca fala krwi uderzyła Józji do twarzy. Cóż miała odpowiedzieć? Wszak ten, do którego przyjechała, nie był ani jej krewnym, ani narzeczonym!

— Jaby chciała widzieć się z panem Żarnickim — rzekła po chwili, pomiągając milczeniem pytanie służącej.

— U młodego pana jest teraz pan doktor. Ale ja pójdę zaraz powiedzieć pani Żarnickiej.

— Pani Żarnickiej?! — zawołała z przerażeniem Józia.

— No tak, przecież pan Żarnicki jest z matką. To pani nie wiedziała? Proszę, niech pani usiądzie, poczeka. Ja zaraz wrócę.

Dziewczyna szybko wybiegła, pozostawiając Józję samą, oszołomioną.

Więc Konrad jest z matką? .. No tak, to przecież rzecz zupełnie naturalna, że matka jest przy chorym synu... Ze też to wcześniej nie przyszło jej do głowy... I teraz nagle nieprzygotowana znalazła się w obliczu konieczności, że za chwilę zobaczy Konrada. musi stanąć przed jego matką... Matka... Jaka ona? Czy dobra? Czy podobna do niego? Czy słyszała kiedy o niej, o Józji?... Co powie? Jak ją przyjmie? Co sobie pomyśli?

Usiłowała przypomnieć sobie, co jej swego czasu Konrad o matce opowiadał. Mówił, że matka kocha go niezmiernie, że pieściła go nawet za nadto i psuła przez to. Dawał jednak, że choć bardzo kochała się z matką, czasem przychodził pomiędzy nimi do starć, bo on nie zawsze godzić się chce i może na ambitne plany przyszłości, które ona snuje dla niego.

— Mama uważa mnie za ósmego cudu świata, za doskonałość skończoną — mówił z uśmiechem — zawsze jej się zdaje, że jestem królewiczem z bajki, który dostanie królową zaczarowaną i w dodatku całe królestwo z za siedmiu gór, z za siedmiu rzek, a tymczasem ja jestem sobie bardzo zwykły śmiertelnik, pełen wad i słabości.

Może pani Żarnicka pomyśli, że ona się narzuci? Może weźmie jej za złe? Nie zrozumie... potępi...

Dziesiątki pytań bez odpowiedzi i trwoźnych przypuszczeń kołowały w myśli Józji.

— Proszę panienci, pani Żarnicka prosi!

To wróćła służąca.

Na powitanie Józji podniosła się z głębokiego, wysycianego fotelu wysoka, kształtnie zbudowana kobieta, ubrana w ciemną, elegancką, bardzo gustowną suknię. Oczy jej podobne były do oczu syna: ciemne, duże, pięknie wykrojone i oprawione. Tylko wyraz był inny, chłodniejszy, więcej przenikliwy. Inny był też układ i rysunek ust, o wargach cienkich i wąskich. Ani śladu miłego uśmiechu Konrada. Charakterystyczną cechą twarzy pani Żarnickiej był rys energii i silnej woli, którego brakowało jej synowi. Było coś w tej kobiecie siwiącej już, ale bardzo jeszcze przystojnej, wysokiej, imponującej dystynkcyjnych ruchów, ubrania i całej postawy, co przypominało Józję, nie widzieć dlaczego ojca...

I jak nieraz przed ociem w chwilach jego gniewu traciła całą pewność siebie, całą zwykłą swoją rezerwowość, tak i teraz pod badawczym wejrzeniem pani Żarnickiej, zmieszana się, stropiona i stała bezradnie. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, zapomniawszy się nawet uklonąć...

— Z kim mam przyjemność? — zapytała matka Konrada, spoglądając z nieufnym zdziwieniem na młodą dziewczynę.

— Nazywam się Józefą Maliniewiczówną — powiedziała cicho Józia.

— A h, tak!.. Panna Maliniewiczówna!..

Wyciągnięta na powitanie ręka pani Żarnickiej cofnęła się i opadła nagle... Ostre i wyraźne już nieprzyjemne spojrzenie przeszło biedną Józję, która stała jak na torturach. Słowa matki Konrada, wypowiedziane tonem tak twardym i zimnym, jakby

w lodzie wyrąbane, odebrały dziewczynie resztkę odwagi. Nie mogła już wątpić, że nazwisko jej nie jest obce i nie mogła się łudzić, że czeka ją jakieś miłe powitanie.

Czego pani sobie życzy?

Znowu każdy wyraz, niby ciężki kawałek lodu, spada na serce Józji.

— Ja... ja... chciałabym się widzieć z panem Żarnickim — wyszeptała tak cichutko, że pani Żarnicka więcej domyśliła się tych słów, niż je dosłyszała.

Nieśmiało, z korną gorącą prośbą podniosła Józia swoje śliczne, niebieskie oczy ku starszej kobiecie. Spojrzeniem błagała o litość, o trochę litości i zrozumienia...

Gdyby pani Żarnicka nie widziała w Józji niebezpiecznej zawady na drodze do świetnego ożenku, ułożonego przez nią dla syna — byłaby się może wzruszyła błagalnym wejrzeniem, niesmiałą, pełną wdzięku postawą dziewczęcia... Byłaby może odczuła, że Józia cierpi, dławi się tłumionymi łzami i dręczy wstydem palącym.

Ale ten właśnie wdzięk młodej dziewczyny, ta piękność jej niezapręczona, tchnąca dziwnym urokiem, potęgowały niechęć matki Konrada i udużyły w niej niemal nienawiść.

— Tak! Ona naprawdę może być niebezpieczną tą „zepsuta smarkata“, „bezczelna kokietka“, jak ją o Maliniewiczównie nie omieszkali poinformować rozmawiający „najsędecniejsi“.

Teraz z ozumiała, dlaczego tak trudno było „wybić“ synowi z głowy „romans“ z córką urzędnika bez posagu i wpływów towarzyskich.

Jasne stało się, dlaczego Konrad tak uparcie i bez wyrażenia powodu, odczuwał się z oświadczeniem krociowej pannie Izie Maślowskiej.

Kiedy Konrad został superarbitrowany z wojska, matka wyjechała z nim umyślnie do Zakopanego — po części dla pokrzepienia wątłego zdrowia syna, a więcej dla planów małżeńskich, które sobie w ciichości serca usnuła.

W Zakopanem od początku wojny bawiła dawna jej znajoma i koleżanka, bogata właścicielka ziem — pani Maślawska z jedynaczką Izą, panną cnotliwą i anemiczną o jasno żółtych włosach i szarych, przyciemnionych oczach, które się ożywiały dopiero na widok Konrada Żarnickiego.

Wszystko zdawało się słać na lepsze. Pani Maślawska była zachwycona Konradem, panna wyraźnie zakochana i matki nawet już po cichu omówiły pomiędzy sobą małżeństwo „dzieci“...

Tylko z Konradem nie szło tak łatwo... Towarzyszył wprawdzie pannie Izie, grywał z nią w tenisa, cnotdził na spacerach, jeździł na wycieczki, ale się nie oświadczał...

Niekiedy burczał się i oznajmiał matce, że nie chce zwać tej „żółtej lalki na sprężynach“. Wkrótce jednak opór jego słabł pod wpływem nalegań i prośb matki i tego niezwyklego zainteresowania, jakie okazywała mu tak chłodna i wstrętna w słowach dla innych panna Iza.

Ostatecznie zlekkał i wahał się tak długo, aż silne zapalenie płuc przerwało konkury.

Pani Żarnicka umieściła syna w sanatorium i zamieszkała z nim razem. Choroba Konrada nie przerwała znajomości z paniami Maślowskimi. Codzie nie matka i córka odwiedzały Żarnickich i przynosiły najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko można było dostać w Zakopanem.

Konrad jednak przyjmował te dowody pamięci z zupełną obojętnością. Z taką niezwykłą obojętnością, że czasem nawet nie podziękował, że czasem nawet nie odwrócił głowy, kiedy panie Maślowskie wchodziły do jego pokoju.

Zachowanie to szło jednak na karb choroby, bo lekarz dr. Rzęśniewski skonstatował u młodego Żarnickiego nie tylko zapalenie płuc, ale i silne rozdrażnienie nerwowe.

Chory miewał niekiedy gorączkę tak wysoką, że tracił przytomność. A wówczas w młgłynie na szczytach, splekane usia jego wyrzywał się okrzyk skargi i tęsknoty: „Józiu!.. Józiu!..“

Słyszła to matka i serce jej wzbiało żalem i gorczyzą, że syn nie ją przyzywa, ani tę, którą mu ona na żonę przeznaczyła, ale jakąś obcą dziewczynę.

Nie znając wcale Józji, zaczynała jej nienawidzić. I oto teraz nagle miała ją przed sobą żywą, świeżą, jak wiosna i dziwnie uroczą z temi jasnymi, rusałkami oczyma.

W Żarnickiej zakipiał gniew. Ostrem i zimnem jak stal spojrzeniem przeszywał dziewczynę, powiedziała dobitnie i stanowczo:

— Załóż bardzo, ale syn mój jest chory i wizyt żadnych przyjmować nie może!..

Józia zadrżała.

— Och! Proszę pani, ja przyjechałam umyślnie! — wybiegło jej na usta prośbą błagalną i naiwną.

Żarnicka zrobiła zdziwioną minę.

— Jak to umyślnie? Więc pani przyjazd do Zakopanego nie jest przypadkowy?

— Nie!..

— Pani wiedziała, że syn mój chory?

— Wiedziałam...

— Kiedy pani przyjechała?

— Dzisiaj rano!

— Z kim? — indagowała dalej Żarnicka coraz silniej zaniepokojona.

— Sama... — zabrzmiała odpowiedź tak cicha, jak szmer liści, tchnieniem wiatru poruszanych.

— Jakto? Sama zupełnie?! B z rodziców?! Bez żadnej opieki?! Bez jakiegokolwiek starszej towarzyski?!

— Przyjechałam zupełnie sama...

Pani Żarnicka sama nie wiedziała, czy jest więcej zdumiona, czy oburzona. W umyśle jej ugruntowało się przypuszczenie, że Maliniewiczówna to nie tylko awanturka, ale śmiała, niebezpieczna spekulanka, która w tak niezwykle sposób chce ostatecznie ujarzmić jej syna i zdobyć go sobie na męża.

— Taka młoda i taka zepsuta już i bezczelna! — pomyślała — Te łzy w oczach, ta zalękniona minka niewinności, to wszystko wyrafinowana komedia!..

Z ironicznym, pogardliwym uśmiechem na ustach pytała dalej:

— Wolno zapytać, czy też rodzice pani lub opiekunowie wiedzą o tej podróży?

Józia zwiesiła głowę na piersi i milczała.

Gdyby w głosie matki Konrada postyszała jakiś cieplejszy odcień, gdyby odczuła choć jedno życzliwe drgnienie, byłaby się jej zapewne rzuciła do kolan i wybuchając płaczem serdecznym, wyznała wszystko.

Ale przed tą panną dumną i surową, od której szła prąd wrogi i nienawistny, płakać nie chciała i serca swego otworzyć nie mogła.

Milczała więc, ale to milczenie było dla pani Żarnickiej dostateczną odpowiedzią.

— Pani nie odpowiada? Tak, zatem należy domyślać się, że pani poprostu uciekła! Bardzo pięknie! Bardzo chwalebnie! Ileż to pani ma lat? Z wyglądu sądząc, najwyżej ośmnaście! Istotnie obiecując początki!

Jeszcze niżej pochyliła się głowa Józji. Szybkim, nerwowym ruchem zakryła dziewczyna rękami twarz, którą oblał pałący rumieniec wstydu.

Każde z tych twardych, neliitościwych słów spadało na nią, jak krwawa obelga, każde z nich odczuwała jak polcek.

A nieubłagana pani Żarnicka głosem miarowym, spokojnym, w którym czuć było jednak głuche nuty gniewu — mówiła dalej:

— Matka pani przyjemną ma dzisiaj niespodziankę!

— Ja nie mam matki oddawna — szepcze Józia, a splecione przy oczach jej palce, mokre są już od łez.

Ale ta żalonna skarga sieroty nie wzrusza kobiety wrzającej gniewem i oburzeniem.

— To bardzo szczęśliwie dla niej, że nie dożyła takiej z córki pociechy! Nie! Doprawdy, gdyby mi coś podobnego opowiadano, nie uwierzyłabym! Taka młoda dziewczyna!.. Więc pani śledziła mego syna! Szpiegowała go! Dowiadywała się i teraz chce pani skorzystać z odpowiedniej chwili? Prawda?!.. Co pani właściwie wyobrażała sobie, przyjeżdżając tutaj? Jak pani nie wstyd tak narzucać się!

Te słowa złe, urągliwe przebrały miarę. W sercu Józji zaczął się budzić bunt.

Przestała płakać, odjęła ręce od twarzy, podniosła głowę i z odcieniem dumy przemówiła:

— Ja nie szpiegowałam nigdy nikogo i nikomu się nie narzucałam! A przyjechałam, bo pan Konrad napisał do mnie, że jest ciężko chory i pragnie koniecznie widzieć się ze mną.

— Więc pani stale korespondowała z moim synem?!..

— Nie! Ale on znał mój adres.

Żarnicka czuła, że Józia mówi prawdę, ale tem większy gniew to w niej budziło. Miała teraz niezbity dowód, że Konrad nie zapominał o Józji.

Postanowiła więc raz na zawsze przeciąć ten „romans“ i dać porządną nauczkę „intrygantce“.

— Więc dla tych kilku słów, napisanych w przystępie chwilowego kaprysu, jak to się często zdarza u chorych, przyjechała pani? Szkoda było się trudzić i urządzać coś podobnego swoim opiekunom! Zaręczam pani, że syn mój, gdyby panią teraz zobaczył, byłby bardzo zdziwiony i to nieprzyjemnie! O tem, żeby się pani widzieć z nim miała, niema mowy. Po pierwsze niema sensu, a powtóre mogłoby go to tylko rozdrażnić. Doprawdy wierzyć mi się nie chce w to wszystko, bo to jakoś brzmi za nadto